Pisanie należy do świata magicznego

Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm (Wilmington, Delaware) rozmawia Jolanta Wysocka (Nowy Jork)

Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r., fot. arch. A. Z-B

Cieszę się ogromnie, a ze mną wierni pani czytelnicy, że znów daje nam pani do ręki „delicje" swojego pisarstwa. Na rynku księgarskim bowiem ukazały się dwie pani książki: „Pisarskie delicje" (Bellona) oraz „Wokół

Wańkowicza”(PIW). Zapytam najpierw o tę drugą. Jako asystentka wybitnego prozaika i spadkobierczyni jego archiwum wydała pani o nim swoje wspomnienia („Blisko Wańkowicza”) i tom esejów („Na tropach Wańkowicza po latach”), ale potem napisała pani także wiele innych książek, niezwiązanych z pisarzem. Rozumiem, że pamięć o Wańkowiczu jest w pani wciąż żywa. Czy to pewne podsumowanie wspomnień o człowieku, którego pani znała? Dlaczego pani do niego powraca?

Wańkowicz wszedł do lektur szkolnych, to duża sprawa. Cenione wydawnictwo PIW wydało książkę o pisarzu, która przybliża jego niezwykłą osobowość, jego książki, różnorodną ich tematykę. Tom „Wokół Wańkowicza”, liczący blisko 700 stron, zawiera wszystko, co dotychczas napisałam o Wańkowiczu – oba tytuły, które pani wymienia, plus 300 stron uzupełnień. Przywołałam swoją pierwszą książkę „Blisko Wańkowicza” (która miała trzy wydania, 90-tysięczny nakład), gdzie przypominam, gdy jako studentka pisząca pracę magisterską na temat jego twórczości wysłałam do pisarza list. W odpowiedzi wyznaczył spotkanie. Przywiozłam ze sobą moje „prace zaliczeniowe”, które przeczytał na początku spotkania. Kiedy zorientował się, że ma przed sobą „pracusia z polonistyki”, zatrudnił mnie jako *researcherkę.* Przez kolejny rok studiów zbierałam materiały do „Karafki La Fontaine’a”, której drugi tom pisarz mi zadedykował („… bez której oddanego współpracownictwa zapewne byłaby to jeszcze gorsza książka”). Po ukończeniu studiów zostałam jego asystentką. Rok później pisarz zmarł. Cała znajomość trwała ledwie 2 lata i 3 miesiące, ale był to ważny pod wieloma względami okres. Po śmierci pisarza zajęłam się prowadzeniem serii jego „Dzieł wybranych”, obroniłam doktorat na Uniwersytecie Warszawskim, a także, mając 27 lat, napisałam pierwszą w życiu książkę.

Dlaczego teraz powracam do tematu autora „Monte Cassino”? Przez ostatnie lata nagromadziło się wiele nieporozumień, a nawet niepopartych żadnym dowodem oskarżeń. W książce umieściłam materiały z Instytutu Pamięci Narodowej, a także przytaczam m.in. słowa Eugeniusza Wita (zesłańca syberyjskiego, który z armią Andersa zgłosił się do spadochroniarzy; wieloletniego adiutanta generalnego Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce), który w 1958 roku był uczestnikiem debaty na temat skrótów książki „Monte Cassino”. Debata ta odbyła się na życzenie Wańkowicza w Nowym Jorku w środowisku weteranów. W jej wyniku stwierdzono, że „Wańkowicz miał rację co do wydania książki w Polsce. Dzięki niej

ludzie dowiedzieli się o szczegółach tej bitwy i mogli być dumni. Książka była potrzebna, by przetrwać, podtrzymywała uczucia patriotyczne. Pomogła legendzie bitwy i legendzie żołnierza polskiego. Dzięki takim książkom rosło pokolenie, które marzyło o wolnej Polsce".

Chcę podkreślić, że Wańkowicz był porządnym człowiekiem, niewmieszanym w żadne układy, był barwną i ciekawą postacią, nie żalił się, trzymał fason. Jego książki były uwielbiane, środowisko zazdrościło mu tego. Nie wytypowano go żadnej nagrody – ani przed wojną, ani na emigracji, ani w Polsce powojennej. Mówił o tym z żalem, nie z dumą.

Nie jest powszechnie znane, że hojnie przekazywał pieniądze do kasy represjonowanym, a tuż przed śmiercią w 1974 roku przekazał Janowi Józefowi Lipskiemu i Janowi Olszewskiemu znaczącą na owe czasy kwotę na ten sam cel. Wspierał finansowo opozycję demokratyczną w Polsce, o czym jest w książce szeroka wypowiedź Jana Olszewskiego.

Myślę, że tą książką zamknęłam swoje pisanie o autorze „Szczenięcych lat", chyba że pojawi się jakiś nowy atak i będę musiała wyjaśniać i tłumaczyć. Zawsze także służę pomocą każdemu, kto chciałby się zająć jego pisarstwem.

Dzięki pani książce poznajemy Wańkowicza nie z perspektywy biografa, zbierającego z różnych źródeł informacje o interesującej go postaci, ale z perspektywy osoby, która była z nim na co dzień, patrzyła na niego podczas pracy, czy też w ramach jego życia domowego. Nie skupia się pani na chronologicznym opisie wydarzeń. Dlaczego przyjęła pani taką formę?

Chciałam, by „Wokół Wańkowicza" była książką „do czytania", aby miała ton poważniejszy i ton lżejszy. Są w niej wspomnienia pisarza – jakiego znałam – także rozdziały analizujące jego książki. Pokazuję okres przedwojenny, wojenny, gdy był korespondentem II Korpusu, jak zbierał materiał do najgłośniejszej swojej książki „Monte Cassino".

Piszę o niełatwym pod wieloma względami okresie na emigracji (Zofia Wańkowiczowa sprzątała po domach), o decyzji powrotu do Polski w 1958 r. Obszernie omawiam proces wytoczony pisarzowi w PRL w 1964 r., o którym pisano

dużo także w Stanach Zjednoczonych; interweniowali m.in. amerykański PEN Club, senator Robert Kennedy.

Przytaczam wspomnienia – jak zapamiętali go różni ludzie. Jest rozdział o pisarce Zofii Romanowiczowej, która była sekretarką pisarza przy pisaniu „Monte Cassino", a po jego śmierci napisała poświęconą mu książkę: „Sono felice".

Są także pokazane zbierane na niego liczne, nieraz wręcz żałosne donosy, które są w teczkach IPN.

Co jeszcze w książce „Wokół Wańkowicza" jest nowego?

Jest rozdział: „Ostatnie dni Krystyny Wańkowiczówny. Opowieść ‚Gryfa'". Piszę o starszej córce pisarza, która zginęła w szóstym dniu powstania warszawskiego. Ojciec napisał o niej pięknie w „Zielu na kraterze". O ostatnich dniach Krystyny ps. „Anna" opowiedział mi jej dowódca Janusz Brochwicz-Lewiński ps. „Gryf", do którego udało mi się dotrzeć w 2010 roku. Krystyna została pochowana w prowizorycznej mogile. Zofia Wańkowiczowa, która wiosną 1945 r. uczestniczyła przy odkopywaniu tego grobu, zapewne nie rozpoznała ciała córki. Nie wiedziała, że Krystyna obcięła warkocze, że zamiast spódniczki plisowanej, w której wyszła do powstania, miała na sobie mundur. Niestety, Zofia i Melchior Wańkowiczowie nie wiedzieli o tym. O tym dowiedziałam się ja – 56 lat później. Jest to jedna z bardziej przejmujących opowieści, o której w swoim życiu napisałam.

Wańkowicz w testamencie pozostawił pani swoje archiwum. Czy udostępnia je pani zainteresowanym? Czy dokonuje pani selekcji, które materiały mogą ujrzeć światło dzienne, a których lepiej nie ujawniać?

Archiwum jest w moim warszawskim mieszkaniu, część przekazał sam pisarz i część ja – po jego śmierci – do Ossolineum. Każdemu, kto do mnie się zgłosi, udzielam pomocy. Gdy jestem w Polsce, robię kopie listów, artykułów i wysyłam zainteresowanym. Jak dotąd, udostępniłam archiwum prof. Marcinowi Kuli, Robertowi Jarockiemu (materiały dotyczące tematu żydowskiego), listy Kazimierza Wierzyńskiego – Pawłowi Kądzieli, korespondencję Zofii Kossak-Szczuckiej – Mirosławie Pałaszewskiej, materiały związane z tematem Westerplatte – dr Krzysztofowi Zajączkowskiemu, ogólne Annie Malcer-Zakrzackiej z Gdańska,

piszącej pracę doktorską na temat autora „Szczenięcych lat”, Bartoszowi Bajkowi – korespondencję pisarza z Florianem Czernyszewiczem, autorem książki „Nadberezyńcy”.

Zamierzam przekazać archiwa Wańkowicza do Biblioteki Narodowej lub – jako kontynuację – do Ossolineum.

Kilka lat temu w jednym z wywiadów powiedziała pani, że o Wańkowiczu powoli się zapomina. Czy tę konstatację może pani powtórzyć również dziś? Czy może jednak coś się zmieniło? Jak widzi pani w tym procesie swoją rolę?

Jest lepiej. Ważne jest wejście do lektur szkolnych, o czym wspomniałam. Ważne jest, aby książki były wznawianie, by pisać o nich. Moim swoistym obowiązkiem jest czuwać nad spuścizną Wańkowicza. Pod moją redakcją wydane zostały wielotomowe serie, ostatnio 16-tomowe „Dzieła wszystkie” (wyd. Prószyński i S-ka), w której po raz pierwszy ukazały się teksty o tematyce żydowskiej czy o Wołyniu. Chciałabym, by była wznowiona biografia pisarza pióra Mieczysława Kurzyny.

Ważna jest doroczna ceniona Nagroda im. Wańkowicza za radiowy reportaż. Są szkoły jego imienia, jest pomnik autora „Na tropach Smętka” w Piszu, na Mazurach. Imię pisarza noszą ulice w całej Polsce – np. w Warszawie, Krakowie, we Wrocławiu, w Poznaniu, Szczecinie, Olsztynie, Koszalinie, Jeleniej Górze, w Radwanicach, w Bolesławcu, Bartoszycach.

W książce wydanej po angielsku w 2013 r. w Stanach Zjednoczonych pt. „Melchior Wańkowicz Poland’s Master of the Written Word” nazwałam go „polskim Hemingwayem” – ze względu na bogatą osobowość, popularność, różnorodną tematykę książek, niezwykłe życie, przemieszczanie się. W 1958 r. wyjeżdżał z USA oskarżany przez Polonię o „powrót do komunistów”. Po ponad pół wieku wrócił za Wielką Wodę – książką o sobie. Książka ma drugie wydanie.

Jest pani autorką innych książek, które ukazały się także w języku angielskim. Po polsku i po angielsku zaczęły się ukazywać pani książki jako audiobooki. Wydała pani w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych dziewięć tytułów i trzy w Kanadzie. Jako dwie pierwsze ukazały się książki o Indianach i o… kotach… O angielskojęzycznych pani wydaniach pisali m.in.

znani z książki „Sprawa honoru" Stanley Cloud i Lynne Olson, a także wielu innych, jak chociażby: Zbigniew Brzeziński, Audrey Ronning Topping, Stanley Weintraub, Bruce Johansen, John Mensch, Larry Cunningham, Irene Tomaszewski, Jerzy Krzyżanowski, Anna Cienciała, Piotr Wandycz, James S. Pula, Charles S. Kraszewski, Ewa Thompson, Mary Lanham, Florence W. Clowes. Proszę przypomnieć tytuły pani angielskojęzycznych książek.

W Kanadzie ukazały się „Dreams and Reality", „The Roots are Polish" i książka o senatorze polskiego pochodzenia „Senator Stanley Haidasz: A Statesman for All Canadians".

W Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam od 1990 roku, najpierw ukazała się książka o tematyce amerykańskich Indian (piszę m.in. o stryju, rzeźbiarzu Korczaku Ziółkowskim, który rozpoczął budowę w skałach pomnika Crazy Horse'a) – „Open Wounds a Native American Heritage" (polska wersja: „Otwarta rana Ameryki"); jej wydanie sponsorowali Apacze, po ukazaniu się recenzowały ją pisma indiańskie.

Druga amerykańska książka opowiadała o podróżach… z moją kotką: „On the Road with Suzy from Cat to Companion" (polska wersja, dwa wydania: „Podróże z moją kotką"). Dwa lata szukałam wydawcy na książki o tematyce historycznej – nasze polskie losy „z wojną w tle". Są to: „Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising" (polska wersja ma już trzecie wydanie: „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża" (wyd. Muza), „The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come" (polskie wydanie: „Lepszy dzień nie przyszedł już"), „Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald, and Postwar England" (za tę książkę otrzymałam Fellowship in Literature by the Delaware Division of Arts). Książki te mają drugie wydania w tzw. miękkiej okładce. W 2018 r. ukazała się „Untold Stories of Polish Heroes from World War II".

Napisałam także książkę „Ingrid Bergman and her American Relatives" (aktorka była bliską kuzynką mojego męża Normana) – polska wersja "Ingrid Bergman prywatnie" – a także książkę o moim życiu pt. „Love for Family, Friends, and Books" (polska wersja, dwa wydania: „Ulica Żółwiego Strumienia").

Ogólnie powiem, że najlepiej się miewa książka o podróżującej kotce Suzy „On the Road with Suzy from Cat to Companion", która ukazała się w 2010 r. i wciąż ma

dodruki.

Porozmawiajmy teraz o drugiej książce, która też niedawno się ukazała w Polsce, czyli o wydanych przez znane wydawnictwo Bellona „Pisarskich delicjach". Są to pani rozważania o własnym warsztacie pisarskim. W jednym z rozdziałów napisała pani, że bohaterka książki „Kaja od Radosława" odwdzięczyła się, zapisując pani… miejsce w grobie na Powązkach.

No właśnie, czy wielu autorów otrzymało taki prezent od swoich bohaterów?

W tej książce chciałam się podzielić doświadczeniami z procesu pisania. Zastanawiam się w niej, czym jest dla mnie literatura faktu, jak się układały relacje z ludźmi, którzy opowiedzieli mi swoje losy. A także, jak po ukazaniu się książek niektóre ich tematy pokazywały „inne, nowe wątki".

Tablica pamiątkowa poświęcona Melchiorowi Wańkowiczowi, Warszawa, Nowy Świat, fot. wikimedia commons

W „Pisarskich delicjach" poświęciła pani rozdziały m.in. takim mistrzom pióra i publicystyki, jak Jerzy Giedroyć czy Isaac Bashevis Singer. Dlaczego właśnie oni stali się współbohaterami pani opowieści?

Piszę o tym, jak wspaniałą lekcję „zaczepienia tematu" dostałam w czasie spotkania z Isaakiem Singerem w Nowym Jorku we wrześniu 1985 r., gdy byłam stypendystką Fulbrighta. Spotkanie Singera było dużym wydarzeniem w moim życiu. Podarował mi swoje książki z dedykacjami, a także książkę z ręcznymi poprawkami do nowego wydania. Otrzymałam też od niego fotografię z piękną dedykacją. Odpowiedział na wiele moich pytań, m.in.: jakie ma rady dla młodych pisarzy. Przytaczam je w „Pisarskich delicjach".

Jerzy Giedroyc – z którym wymieniłam ok. 200 listów; pisywałam do „Zeszytów historycznych” i paryskiej „Kultury” – zaprosił mnie do współpracy przy porządkowaniu jego korespondencji z Melchiorem Wańkowiczem. Pytał też o moją kotkę, o Indian, którymi bardzo się interesował, ale jednocześnie mieliśmy inne zdania na temat osoby Wańkowicza, którego ja „broniłam”. Napisał, że jestem „emocjonalna”, jeżeli chodzi o pisarza, a ja odpowiedziałam, że nazywam to „lojalnością”. Giedroyć wymienił swój wstęp do tomu korespondencji, nowy napisał ładnie – z szacunkiem i podziwem. Jestem mu wdzięczna, że dał się przekonać.

Czy można uznać, że w zdaniu w „Pisarskich delicjach”: „Pisanie pojmuję… jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie: własnym upodobaniom czy wręcz fascynacjom”, zawarła pani swego rodzaju *credo* pisarskie, a być może także życiowe?

Moje rozumienie pisania nie musi być zbieżne z przemyśleniami innych. Pisanie pojmuję – najogólniej mówiąc – właśnie niemal jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie. Czasami mówię: żeby mi życia starczyło, abym mogła spokojnie przemyśleć, wysłuchać, poczytać, zrobić notatki, i wreszcie – napisać.

„Pisarskie delicje” zaczęłam od eseju, że pisanie należy do świata magicznego, i wielu z nas chciałoby w nim zamieszkać. Nawet tylko znalezienie się w jego kręgu daje dużo wrażeń i uczy… pokory. Dobre pisanie to połączenie ciekawej formy i treści. Kiedy sposób pokazania jest tak samo piękny jak opowiedziana historia – to zazwyczaj powstaje interesująca literatura.

Każdy autor chciałby, by jego książka była ważna i oryginalna, by skłaniała do refleksji. Pisząc, chcemy przekazać innym nasze obserwacje, emocje, odczucia, wrażenia i fakty.

Pisząc, za każdym razem jakbym reagowała na rzeczywistość, ludzi i na zdarzenia wokół siebie. Jakbym chciała odpowiedzieć na pytanie: „Jakie jest nasze życie?”.

Opowieści innych zawsze mnie interesowały, chętnie ich wysłuchuję i czasami chcę o nich także napisać. Również moje własne życie dostarcza mi emocji, które często są inspiracją. Piszę o tych dobrych, i o tych gorszych, i jest to rodzaj swoistej terapii, gdy dzielę się swoimi przemyśleniami i obserwacjami z innymi. Tak jak wszyscy,

wciąż uczę się żyć, potykając się, nie raz i nie dwa. Chciałabym zrozumieć swoje życie i świat wkoło mnie, pisząc, przybliżam i w jakiejś mierze przyswajam sobie nowe i nieznane zjawiska.

Pisze pani o literaturze faktu, podkreśla jej wagę we współczesnym świecie…

Dwudziesty pierwszy wiek od samego początku należy do literatury faktu, i zapewne taki pozostanie. Gdy wchodzi się do sieci księgarń *Barnes and Noble,* widać przede wszystkim monografie, biografie, wspomnienia, omówienia, pamiętniki, dzienniki, wywiady, wyjaśnienia, relacje.

Czytelnik współczesny oczekuje dokumentacji, jest głodny faktów, przekazów z pierwszej ręki. Chce śledzić, co się dzieje w świecie, który dzięki telewizji i głównie internetowi wszedł w nasze życie ze swoimi dylematami, problemami, katastrofami i biedą. Na temat wielu spraw i zjawisk pragniemy wiedzieć więcej, czasami je zgłębić lub choćby „coś" lepiej zrozumieć. Chcemy wiedzieć także o sprawach nam, Polakom, bliskich, o naszej historii, naszych wielkich postaciach, ale i o przeciętnym człowieku, by się z nim identyfikować. Może chcielibyśmy wyciągnąć nowe wnioski z naszej przeszłości, nawet wiedząc, że „historia lubi się powtarzać".

Jak pani patrzy na pojęcie kreatywności w literaturze faktu?

Autorzy *non-fiction* mają swoisty kontrakt z czytelnikiem: nic nie wymyślamy. Wszystko, o czym piszemy, jest oparte na dokumentach, faktach, ustalonych relacjach, i autor winien o tym napisać czytelnikowi. Uważam, że mimo tych trudności, pole do kreatywności jest duże.

Pisarz, który wybiera literaturę faktu jako swój warsztat i tematykę, zdaje sobie sprawę od początku, i z czasem coraz bardziej przekonuje się, przed jakimi staje zadaniami. Przede wszystkim musi dbać, by jego przekaz zawierał prawdę – zarówno miejsca i czasu akcji, jak postaci, które pokazuje. Prawdziwe muszą być ich wybory i motywy działania, ich życie, dobry los, tragedia i ból, potknięcia, rozczarowania, upadki, jak i radości, i satysfakcje. Różne są sposoby pokazania wybranego bohatera i jego losów, zdarzeń wokół. Trudność polega na tym, jak przekazać prawdę, która jest „moją prawdą" lub prawdą „innej osoby". Czy jest jedna prawda? To jest temat nieraz skomplikowany.

A co jest ważne przy pisaniu? Co przeszkadza, powstrzymuje od pisania?

Ważne jest, aby autor umiał zaangażować, wciągnąć emocjonalnie czytelnika w tok swojej opowieści. Kreatywność piszącego polega na wyborze perspektywy, która jak oko kamery pozwala zatrzymać i skupić się na wybranym szczególe. Skupić tak, by zwrócić uwagę czytelnika. Podając szczegóły niejako wciąga się czytelnika w akcję, uruchamia jego wyobraźnię. Wstrzemięźliwość ma ważną rolę w opowiadaniu, może wykreować dramat i napięcie. Powiedzenie „za dużo" zabiera napięcie, gadulstwo narratora niszczy tekst.

Co powstrzymuje od pisania? Dziesiątki spraw, ludzie, świadomość, że tyle już napisano, że jakże wiele się pisze, że nieraz wręcz gadulstwo nas otacza… Ale jednocześnie jakże piękne i szlachetne jest przekonanie, że ktoś chce się podzielić się z innymi ważną sprawą. Uważam, że każdy z nas ma swoją własną opowieść i może ją napisać, opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest zagadnienie osobne.

Podkreśla pani także poświęcenie…

Pisanie wymaga nieraz wielkiego poświęcenia. Zdarza się, że wszystko inne wkoło jest ważniejsze, jakby właściwsze. I zapewne często tak właśnie jest. Są i inne przypadki, kiedy trzeba umieć uciszyć głos w sobie, który przeszkadza, nieraz wręcz jest naszym wrogiem. Może nas buntować, może stawiać pytania: „komu – na co – po co?", i może proponować wiele ciekawych zajęć i niemałych przyjemności. Także wygoda i lenistwo zawsze podpowiadają oglądanie kolejnego programu telewizyjnego, który nas tak bardzo nie interesuje, szperanie w internecie, drzemkę, gadulstwo przez telefon, mówienie nieraz wciąż „o tym samym".

W aneksie do książki zatytułowanym „Bądźmy dobrzy dla pisarzy" uświadamia pani, że „pisanie to długie godziny samotności przed kartką papieru (teraz głównie przed komputerem), to są godziny i dnie całe zmagania z własnym lenistwem, niewiedzą, to odsuwanie wielu spraw na bok, wielu spotkań, nieraz wielu małych i większych przyjemności".

Pisanie to poświęcanie godzin na pracę, która nie zawsze jest odbiciem naszych

starań i nadziei, nierzadko przynosi wyobcowanie, gorycz i pustkę. Pisanie to długie godziny samotności, a po jakimś czasie – lata samotności. Czytajmy biografie pisarzy, wiele nam dadzą. Jak wiele książek pomogło nam przejść przez trudności, przez załamania… Pamiętamy książki, które wywołały nasze wzruszenie, łzy i uśmiech. Książka cenna i ważna – gdy jest taka – wzrusza, uczy czegoś nowego, poszerza naszą wiedzę, zmienia nasze zdanie, naszą opinię, rozszerza punkt widzenia, obchodzi go z różnych stron, uwrażliwia, wywołuje refleksje, daje nadzieję…

Pisze pani o procesie twórczym, zaangażowaniu, cyzelowaniu treści…

Pisarz powinien być zaangażowany emocjonalnie w temat, ale nie pokazywać swoich uczuć. Jak mówię: emocje popychają mnie do pisania, ale potem tekst odkładam, by się „uleżał". Po jakimś czasie sięgam po niego i go cyzeluję, „udoskonalam". Zbieram komentarze. Wszelkie emocje szczególnie fatalnie brzmią po latach.

Im temat trudniejszy, tym trzeba być oszczędniejszym w słowach, powściągliwszym, unikać przymiotników. Im poważniejszy, tym trzeba go podać spokojniej. Komentarz i różne odczucia powinien wywołać u siebie czytelnik w czasie lektury. Nie powinna być mu wskazana gotowa interpretacja, podsunięta i wypowiedziana przez narratora, pisarza. Trzeba podać obraz tak, by czytelnik sam wyciągnął wnioski. By wstrzymał oddech. Nie należy pisać gotowych komentarzy, czytelnik sam powinien się wzruszyć, zdziwić, zakłopotać, zastanowić, pomyśleć… Gdy to nie następuje, to znaczy, że „nie udało" mi się, nie potrafiłam…

Nieraz pokazuję losy rozbitych wojennymi wypadkami rodzin, dramaty pojedynczych osób. Wydawca amerykański napisał mi, że poprzez pokazane losy czytelnik się identyfikuje i wzrusza, i że tak się dzieje także dlatego, że nie wstawiam własnego komentarza.

Tak właśnie pojmuję pisanie…

Rozmawiała: Jolanta Wysocka (Nowy Jork)

Wywiad ukazał się w nowojorskim „Nowym Dzienniku", 20.09.2019 r.

*

Zobacz też:

Wańkowicz po latach: towarzysz podróży historyków

Pisarskie delicje i remanenty